



Choć nasze stopy zapadały się w piaszczystym wybrzeżu, a po sam horyzont rozciągał się miedziany odcień stepu, krainę tę nazwaliśmy Błękitnym Kontynentem. Wszystko przez kolor nieba, na którym nie znalazłbyś nawet jednej chmury rzucającej wyzwanie słońcu. Błękit widoczny jest także nocą, gdy tysiące gwiazd z nienazwanych jeszcze konstelacji, wytwarza niesamowitą lunę. Jeśli dodać do tego oba księżyce, nietrudno wyobrazić sobie, jak rzadkim zjawiskiem jest tu całkowity mrok.

Nie ma się więc co dziwić, że flora i fauna Błękitnego Kontynentu szczególnie upodobały sobie dwa momenty doby. Pierwszym z nich jest brzask. Niskie rośliny otwierają swe kwiaty, by czerpać rosę parującą ze schłodzonej nocą ziemi. Podobnie jak olbrzymie, choć pojedynczo rosnące drzewa. Jest to najpiękniejsza pora dnia. Jałowy step zamienia się wówczas w kolorową oazę, pokazując, że życie – chociaż ukryte – bujnie rozpleniło się na tym świecie. Drugim momentem ukazującym prawdziwe oblicze stepu jest zmierzch. Wtedy na horyzoncie pojawiają się duże ptaki nieloty oraz smukłe zwierzęta o bardzo długich nogach i równie okazałych porożach. Już drugiego dnia ekspedycji natknęliśmy się na antylopy o rogach przypominających szable albo – dla odmiany – korony drzew. Nasi przyrodnicy twierdzą, że ów imponujący kościec pomaga tutejszej faunie gromadzić wodę i znosić upał. Gdy słońce jest nisko, z norek wylaniają się długouchy lisy, myszowate o skocznych nogach oraz węże, które szczególnie nocami straszą nasze konie.

Najbardziej niezwykłym stworzeniem Błękitnego Kontynentu są jednak przerażające skrzydlate bestie. Niektórzy z nas myśleli z początku, że tak wyglądają tu ludzie, którzy spółkowali niegdyś z demonami. Mają głowy przypominające twarze ludzkich niemowląt z ustami kryjącymi rząd ostrych jak gwoździe zębów. To owady wysokości dorosłego człowieka z dwoma parami odnóży, chwytnym odwołkiem zakończonym pazurem oraz chitynowymi skrzydłami. Ghule, bo taką nadaliśmy im nazwę, wiją gniazda w koronach olbrzymich drzew, polują nocą, a latają, nie wydając z siebie dźwięku. Tylko śmiertelny krzyk jednego z naszych tragarzy zdradził nam obecność tej kreatury w naszym obozie, piątego dnia ekspedycji. Tuzin salw z muszkietów i garłaczy prujących śrutem, potem szable tnące powietrze jak baty sprawiły, że wreszcie ubiliśmy potwora.

Jakie było nasze zdziwienie, gdy niespełna tydzień później natknęliśmy się na grupę mieszkańców Błękitnego Kontynentu. Mieli skośne oczy, a ich twarze były pomalowane na niebiesko. Farba popękała na słońcu, przez co wyglądała jak zeschnięte błoto lub terakota. Ludzie ci nosili naszyjniki z zębami ghuli, a jeden z nich będący prawdopodobnie przywódcą grupy, miał wetknięte w kapelusz kawałki skrzydeł tego upiornego stworzenia. Uwagi żadnego z nas nie uszło, że owi terakotowi ludzie uzbrojeni są jedynie w noże i prymitywne maczety. Czy więc odznaczeni nadludzką siłą, czy może byli potężnymi magami?

Doprawdy, nie mogę doczekać się kolejnego dnia na tym zachwycającym, nowym świecie.

*Z dziennika kapitana Atylli
w: Pionierzy Błękitu, czyli Sto lat
przed Cesarstwem Nykejskim*



Trzy dziesiąte sekundy. Tak szybko strzelają najlepsi. W tym czasie poderwą broń zza pasa, wycelują, odciągną kurek i naciśną spust. Mgnienie oka. Szkielet rewolweru staje się przedłużeniem ręki; łuska, spłonka, proch – dodatkowymi narządami wewnętrznymi. Uszkodzenie jednego elementu grozi nagłym zgonem całego organizmu.

Serce pompuje tyle adrenaliny, że świat dookoła zwalnia i przesuwa się jak klatki filmu. Strzelec widzi każdą zmarszczkę na twarzy przeciwnika, słyszy jego oddech mimo dzielących ich kilkunastu kroków. O tak, śmiertelne zagrożenie wyzwała nadczłowieka.

Postronny obserwator – a ten jak szarańcza ściąga na widoku pod patronatem śmierci – usłyszy tylko huk, by następnie oglądać osuwającego się na ziemię faceta z rosnącą plamą czerwieni w okolicach brzucha. Wiem to, bo już jako chłopiec oglądałem pojedynki, wciskając się między żądnych emocji gapiów.

A teraz stoję twarzą w twarz z jednym z najszybszych rewolwerowców w całym Cesarstwie Nykejskim. Być może najszybszym. Wiem, że to ode mnie się zacznie, pierwszy chwycę za broń. On jest pewny siebie, przekonany o niezawodności swoich palców. Zobaczysz, że moja powieka zadrży i już będzie wiedział – czas rozpocząć rzeź.

To nie ręka ciebie zdradzi, a twarz – ostrzegął mnie doświadczony łowca nagród. Jego słowa wciąż do mnie wracają, jednak jestem zbyt wściekły, by nad tym zapanować.

I pomyśleć, że chciałem być taki jak on, Anatangel Tulluk. Patrząc teraz w jego twarz, na poły skrytą za wysokim kołnierzem płaszcza, nie dostrzegam już tego, co kiedyś mi w nim imponowało: niezachwianego osądu rzeczywistości. Kto wie, być może nigdy go nie miał, a tę aurę boskości nadały mu moje naiwne, młodzieńcze oczy.

Po miesiącach poszukiwań, stając z nim w śmiertelnym pojedynku, miałem zabić coś więcej, niż człowieka. Miałem zabić przeszłość. Zadanie trudne, ale – do diabła! – porażka nie wchodzi w grę.

Jeśli to spartolę, naraz umrą dwie osoby. Od kilku miesięcy jestem związany na śmierć i życie z kobietą z luskami na policzkach, burzycielką światów, jak ją nazywają. Nie znają jej jednak tak jak ja, boją się i wolą zawczasu zetrzeć w proch. Nigdy nie popierałem takiego podejścia, teraz także nie zmieniłem zdania. Póki żyję ja, będzie żyła i ona.

Spokojnie, niech drań zrozumie, że nie jestem już amatorem. Sporo nauczyłem się od czasu, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy.

Szlag, gdybym zawsze myślał z taką prędkością jak teraz, wszystko potoczyłoby się zapewne inaczej. Może nawet zostałbym tym cholernym lekarzem! Pytasz, dlaczego? Dobrze, opowiem. Bydlak i tak nie zacznie beze mnie.

To ojciec marzył, bym poszedł jego śladem i zrobił medyczną karierę. Przyzwyczajał do widoku krwi, ran szarpanych, ciętych, a przede wszystkim postrzałowych. Na zwłokach uczył tajemnic ludzkiej anatomii, gdy moi rówieśnicy biegali po miasteczku, łapiąc koleżanki za końskie ogony. Asystowałem mu w gabinecie, odkąd skończyłem dwanaście lat, co mieszkańcy rodzinnej Taury uważali za barbarzyństwo. Ojciec utrzymywał jednak, że dzięki temu oszczędzi mi trudnych początków w akademii i pozbawi lęków toczących wielu młodych medyków.

Wszystkie zabiegi i przygotowania zdały się na nic. Szybciej niż ktokolwiek inny zrozumiałem, że nie mam do tego ani talentu, ani cierpliwości. Gdy tylko na stół trafiał postrzelony

człowiek, rozsądek przegrywał z emocjami. Zamiast skupić się na operacji, myślałem tylko, jak dorwać sukinsyna, który go ranił.

Schyłek III wieku Zjednoczonej Ery to czas paradoksów. Choć wojny nie pamiętają nawet najstarsi, to co drugi trup chowany jest z kulą w ciele. Cesarstwo Nykejskie sięga od oceanu do oceanu, od blisko trzystu lat dzieli i rządzi tygłem religii, kultur i nacji. Na dnie wszystko jednak wrze. Kapłani różnych wyznań wieszczą nadejście Wielkiego Zaćmienia, kiedy to Mrok ostatecznie wchłonie Światło, a ludzką esencję zjedzą wygłodniałe demony. Wyobraźnię pobudzają dodatkowo ostanie mieszące przed końcem stulecia. Nic nie połączyło plebsu i wysokich rodów tak mocno jak dekadentyzm.

Terakotowych nomadów, od pokoleń wypatrujących latających statków, widuje się głównie na pamiątkowych fotografiach. Kiedyś dumni wędrowcy, w magiczny sposób zrośnięci ze stepem, chowają się na pustkowiach lub sprzedają na podejrzanych bazarach halucynogenne zioła.

Wchłonięte przez Imperium kolonie zapomniały o swoich korzeniach. Bezwzględni i niezależni klanowi przywódcy z czasów kolonizacji Błękitnego Kontynentu na klęczkach całują pierścien Cesarza. Zamienili się w skorumpowanych urzędników, poświęcając odwagę i niezależność na rzecz konformizmu.

A jednak wciąż zabijamy się namiętnie. Mój ojciec słusznie powtarzał, że człowiek to zwierzę, które pierwotne instynkty zastąpiło polityką. Przez to, jak wielu rannych zwożono do jego gabinetu, można było pomyśleć, że jest medykiem polowym.

Ludzkość napędza chciwość, a chciwość pragnie ozmy. Najwięcej kul wystrzelono w jej imieniu. Od kiedy ta zalegająca w ziemi substancja stała się głównym paliwem mechanizmów, jej wydobywanie stało się niezwykle dochodowe. Nic dziwnego, że tę przypominającą gluta maź nazwano nowym złotem.

Wysokie jak drzewa żurawie wysysały z ziemi to, co miała najcenniejszego. Robotnicy kompanii dynamitem kruszyli skały, by wiertła maszyn mogły przebić ozmowe żyły. Kiedy

w końcu jakiś szczęśliwiec trafił na złożę, natychmiast zmieniał przesiąknięty potem kapelusz na filcowy cylinder. Stawał się ozmanem, nowym arystokratą. To, że matka powiła go w burdelu, przestawało mieć znaczenie.

Nic dziwnego, że ta śmierzcząca papka często bywała przyczyną rozlewu krwi. Zawracała mężczyznom w głowie mocniej niż wilgotna tajemnica kobiety. Trudno policzyć, ile razy ojciec leczył dźgniętego nożem partnera w interesie, który okazał się zbyt pazerny, czy postrzelonego geologa, który robiąc pomiary, nieopatrznie postawił stopę na cudzym terenie.

Ostatnimi czasy na stół trafiali także cesarscy dragoni. Namiestnicy prowincji wysyłali ich w sporne rejony, by pilnowali porządku, łagodzili nastroje podczas trudnych negocjacji między rodzinami dawnych pionierów a przedstawicielami bogatych kompanii. Posiniaczeni, zabandażowani jak mumie, zwykle przeklinali los, który kazał im się zaciągnąć.

Ja, Ariston Redd, zamiast wyciągnąć wnioski z ich opowiadań, zasililem cesarską armię, gdy tylko skończyłem osiemnaście lat. Wtedy przepełniało mnie przekonanie, że ten chaotyczny świat da się ujarzmić jak wierzchowca. Zresztą, co będę opowiadał. Kto za smarkacza nie miał wrażenia, że świat setki lat czekał właśnie na niego?

Ojciec – mówiąc łagodnie – skrytykował moją decyzję.

– Zawsze byłeś lekkomyślny, ale nie przypuszczałem, że jesteś szalony! Synu, idę o zakład, że najpóźniej za rok znów cię zobaczę – powiedział, wytykając mnie palcem. – Pytanie tylko, czy przy operacyjnym stole, czy raczej na nim.

Następnego lata rzeczywiście się spotkaliśmy. Kiedy już ściągano mnie za zdradę i dezercję, wyceniono na 200 battów.

Żywego lub martwego.

CZEŚĆ I

*Dziewczyna
o słonecznych oczach*

1.

Kłopoty są jak krowie placki na łące, pięćdziesiąt ominiesz, ale w końcu i tak w jakiś wdepniesz. Ja wlałem wyjątkowo szybko, choć nic tego nie zapowiadało.

Był dwunasty sierpnia dwieście dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Zjednoczonej Ery, mijał ósmy miesiąc, od kiedy zamiast imieniem wolano mnie „kadecie Redd”. Służyłem w cesarskich dragonach, regimencie zwanym potocznie pieskami preriowymi. Ta wywołująca paniczny strach w szeregach wroga nazwa przyległa do żółtodziobów po ledwie miesięcznym przeszkoleniu.

Pieskiem preriowym byłeś przynajmniej przez rok. Pół dnia kopaleś rowy, studnie, maszerowałeś w skwarze, krztusząc się pyłem stepu, a przez drugą jego część uczyłeś się musztry na fortowym placu. Dopiero po pełnych trzynastu miesiącach ataman wzywał cię do swojego namiotu i na podstawie raportów sztabowców decydował, czy trafisz do bardziej prestiżowej formacji, czy do końca służby będziesz uczył się chodzenia równym krokiem po placu defilad.

Tamtego pamiętnego dnia miałem wyjątkowe szczęście. Skierowano mnie na rozległe pastwiska pół dnia drogi od macierzystego fortu Belen. Nasz czteroosobowy oddział miał czuwać przy negocjacjach sprzedaży ziemi. Prosta sprawa. Jedną ze stron byli wysłannicy Kompanii Issos słynącej z największych na Błękitnym Kontynencie rafinerii. Sprzedawana przez nich ozma była najlepiej wydestylowana i osiągała najwyższe ceny. Issańczycy pieniędzmi przypalali cygara i trudno było zaproponować kwotę, która zrobiłaby na nich wrażenie.

Wówczas wysłali swojego człowieka, Mukdara Djabbara, do kulawego hodowcy krów Joela Brugera, właściciela sześćdziesięciu hektarów pastwisk. Byli przekonani, że pod nimi przebiega żyła. Szkopuł w tym, że kulas nie należał do tych,

co zmieniają zdanie pod wpływem pliku banknotów. Stary hodowca odziedziczył te ziemie po ojcu, ten zaś po dziadzie, który kupił je w czasach ujarzmiania wschodnich rubieży. On i jego przodkowie latami walczyli tak z naturą, jak i najazdami Terakotowych, by zamienić dawny ugór w płodną ziemię. Wiedzieliśmy, że szanse na to, że wysłannik Kompanii namówi go do sprzedaży, są takie same, jak to, że step pokryje śnieg.

Ale nasze zdanie nie miało tu nic do rzeczy.

– Siedzą tam już prawie kwadrans, a strzelba kulasa jeszcze nie zabrała głosu. Ten cały Djabbar musi być mocny w gębie – wycedził znudzony Bran Duun, stukając palcami w swój metalowy hełm z purpurowo-czarnym godłem Imperium.

Bran był moim równolatkiem. Piegowaty, z zadartym nosem jak u knura, zaciągnął się do wojska, by awansować na społecznej drabinie. Wiedział też dobrze, że mundur imponuje dziewczynom, z czego korzystał na każdej przepustce.

– Wątpię. Gnój nie wygląda na takiego, co się certoli. Jak czegoś chce, po prostu bierze – mruknął Anis Hanker, czujnie obserwując okolicę. – Poza tym słyszałem, że to świetny strzelec. Z gorszej ręki trafia w cel wielkości monety, lepszą w locie zabija muchę.

Z Anisem dzieliliśmy barak. Niezwykle zasadniczy i powściągliwy. Drobnny, wręcz niepozorny, ale nie dawał nikomu sobą pomiatać. Dwa razy roślejsi od niego kadeci czyścili mu broń i prali ubrania. Od dawna sądziłem, że kiedyś będzie naszym dowódcą.

Tego dnia Hanker, zwany przez chłopaków z fortu generałem, także myślał jak doświadczony oficer. Choć nasze tyłki odparzały się w siodłach od wielu godzin, nawet na chwilę nie zszedł z wierzchowca. Był czujny, jak suka pilnująca szceniąt. Nie podobało mu się, że kazano nam czekać na dworze, wśród stada cuchnących krów. Jego zdaniem powinniśmy przysłuchiwać się negocjacjom w murach starego domu.

Było gorąco jak w piecu. Słońce grzało nasze grafitowe mundury, spod ciężkich hełmów lał się pot. Za pastwiskiem

kulawego Brugera, aż po sam horyzont, rozciągały się pokryte kępkami trawy ziemie. Sporo było tam kolczastych krzaków cierniokrzewu, gdzieś krajobraz urozmaicały tylko potężne drzewa talerzowe.

Widziałem, jak generał podejrzliwie patrzy w stronę jednego z nich. W cieniu rozłożystych konarów drzewa stało trzech mężczyzn. Strzelcy Nehari, zbrojne ramię Kompanii, starannie dobrani strzelcy wyborowi. Na głowach nosili spiczaste kapelusze o prostych rondach, przewiązane błękitnym sznurkiem z emblematem Issos – jastrzębim piórem opadającym na kowadło. Z powodu długich, szarych płaszczy z wysokimi kołnierzami, chroniącymi przed stepowym pyłem, zwano ich kominiarzami. Ze strachu robiono tak jednak tylko po cichu. Gdy stało się z takim typem twarzą w twarz, lepiej było używać oficjalnej nazwy.

Z najemnikami nie było żartów. Część służyła kiedyś w legioście, inni – a było ich niemało – żyli z napadów z bronią w ręku. Nic dziwnego, że cesarscy dragoni traktowali ich z ledwie skrywaną pogardą. Sami Strzelcy Nehari twierdzili natomiast, że chodziło o zarobki, których cesarscy tak bardzo im zazdrościli. Szeregowy kominiarz zarabiał trzy razy lepiej od zawodowego dragona, a w wolnym czasie mógł do woli sypiać z kobietami (ja na przykład spałem w baraku pełnym brandzlujących się przed snem chłopaków).

– Więcej ich matka nie miała? Przecież to tylko jeden pastuch, w dodatku tak stary, że chyba pierdzi prochem. Patrzcie, bydlaki wyglądają, jakby zaraz mieli skoczyć nam do gardeł.

– Poglaskaj swoją klacz, generale, to uspokaja – parsknął Bran. – Gdzie się podział twój chłodny profesjonalizm? Wyjdzie na jaw, że masz uczucia, a chłopaki nie dadzą ci spokoju.

– Kominiarze nie mają honoru, za garść miedziaków sprzedałoby własną matkę. To dragoni mroku, brzydzę się nimi – Hanker, nawet klnąc, zachowywał postawę wyprostowaną. Śmiałyśmy się, że ktoś w plecach zaszył mu miotłę.

Dla mnie issańscy najemnicy byli tłem. Bardziej od ich posępnych facjat ciążył mi nieopróżniany od rana pęcherz. Chciałem zaspokoić potrzebę na miejscu, ale czwarty członek oddziału, ataman Tulluk, kazał mi rozwiązać problem na tyłach budynku. Oczywiście nie uśmiechało mi się iść taki kawał w lejącym się z nieba żarze, ale bez zająknięcia wykonałem rozkaz.

Nie dlatego, że tak trzeba, a dlatego, że powiedział to wspomniany już Anatangel Tulluk, legionista, którego nazwisko budziło respekt w całym cesarstwie. Facet był wzorem dla całej naszej trójki. Nieludzko opanowany, oszczędny w słowach i bystry, jakby wychował się w bibliotece.

A do tego szybki jak nikt inny.

Krążyła anegdota, że zamiast grzechotki, rodzice do zabawy dali mu rewolwer. Nie zastanawiałem się wtedy, dlaczego nas, żółtodziobów, wysłano w towarzystwie żywej legendy. Pękaliśmy z dumy i robiliśmy wszystko, by go nie rozczarować.

Odpinałem już pasek munduru, gdy doszły mnie odgłosy z wnętrza wiekowego domu. Trwała ożywiona rozmowa, ale głos sędziwego hodowcy krów nie przebił się ani razu. Sprawa była podejrzana, bo wyczyny kulawego przeszły do lokalnych anegdot. Kilka lat temu tak skutecznie powyzywał budowniczych kolei, że majstrowie musieli położyć pięć mil torów więcej, by nie narażać się krewkiemu staruszkowi. Minionej wiosny natomiast, wierny obrzyn Brugera posłał garść ołowiu w pośladki natarczywego geodety. Facet przez pół roku nie mógł podobno usiąść i spał jedynie na swoim pękatym brzuchu.

Nic zatem dziwnego, że milczenie gospodarza wziąłem za niepokojący znak.

Ostrożnie wejrzałem przez uchyloną okiennicę chaty z piaszkowca. Kulawy Bruger leżał na stole, wokół tańczyły drobinki kurzu. Ręka zwisała mu bezwładnie, a nieruchome oczy patrzyły ślepo przed siebie.

Trup, jak nic.

Nachylał się nad nim Mukdar Djabbar, wysoki Issańczyk w płaszczu Kompanii i koszuli białej jak weselny obrus.

Sprawdzał, czy stary jeszcze oddycha. Najlepsze, że siedzącemu obok notariuszowi gminnemu wcale to nie przeszkadzało. Najzwyczajniej w świecie układał papiery w teczce.

Wracając do kolegów z oddziału, nie dałem po sobie poznać, że dzieje się coś złego. Hanker miał rację, uważne spojrzenia najemników nie były przypadkowe. Dranie od początku coś kombinowali.

Nie zdążyłem powiedzieć słowa, bo drzwi wiekowego domu otworzyły się. Wyszedł z nich notariusz. Tego niskiego człowieka o sumiastych wąsiskach spotykaliśmy czasem na przepustkach w mieście, w towarzystwie kurtyzan. Zadowolony machnął nam, byśmy spięli konie i asystowali mu w drodze powrotnej do urzędu.

– O w mordę, czy ja dobrze widzę? – Bran wytrzeszczył oczy znad swojego wielkiego nochała. – Chce pan powiedzieć, że kulawy się złamał? A w forcie mówili, że nawet po śmierci będzie tu straszyl.

Wąsacz pokazał nam zabazgrany świstek papieru i ponaglił do wyjazdu. Z uśmiechem rozpustnika szepnął nam, że gardło ma suche i marzy o szklance absyntu w towarzystwie kilku skąpo ubranych dam. Ująłem jego konia za uzdę, zapewniając, że za dwa batty duma burdelmamy dostępna będzie i w środku nocy.

– Szkoda odjeżdżać, mecenasie. Musimy zobaczyć minę tego kulawego awanturnika, któremu ktoś zrobił z tyłka wiadro. Taka okazja więcej się nie powtórzy! – szukałem zrozumienia u chłopaków.

– Aristonie, zmień towarzystwo, gadasz jak Bran – mruknął generał.

Notariusz udał, że nie dosłyszał, dosiadł gniadego siwka i ukłął go ostrogą.

Myślałem, że sam będę musiał stawić czoło nieuniknionemu. Zaczynało we mnie wrzeć, byłem gotów wyciągnąć broń, wparować do domu i bez słowa zastrzelić zdradzieckiego Issańczyka.

Wtedy nieoczekiwanie wsparł mnie ataman Tulluk, mówiąc, że daje nam pięć minut o których nie wspomni w raporcie.

Urzędnik prychnął niezadowolony i zadarł wysoko brodę.

– Mecenasie drogi, bądźże pan człowiekiem – do rozmowy włączył się Bran. – Pół dnia jechaliśmy tutaj w patelnianym skwarze, by potem stać kąsani przez te przekłete muchy. Kulas na pewno pędzi tu bimber, przyniesiemy coś na gardło. Obiecuję, nie pożałuje pan.

Notariusz pobladł i więcej się nie odezwał.

2.

Wchodząc na patio wiekowego domostwa stanąłem oko w oko z przewyższającym mnie prawie o głowę Mukdarem Djabbarem. Mimo zadbanej, gładko wygolonej twarzy, jego uśmiech wyglądał paskudnie. Zupełnie jakby zaraz miał wbić kły w moją szyję. Jego zaczepnego, pełnego pogardy spojrzenia nie zapomnę nigdy. Mówiąc szczerze, ledwie je wytrzymałem. Łajdak widział, że sięgam po broń, lecz mimo to arogancko trzymał dłonie w kieszeniach płaszcza. Zaraz zerknął w tarczę złotego zegarka na łańcuszku, poprawił kawaleryjską szablę schowaną pod płaszczem i ruszył w stronę swoich podkomendnych. Przy okazji trącił mnie pogardliwie barkiem.

Zabrzmi to okrutnie, ale byłem rozczarowany. Właściciel gruntów, kulawy Joel Bruger, żył. Gdy wszedłem do izby siedział nad jakąś książką. Przewracał z wolna stronę po stronie. Przekląłem w duchu moją wyobraźnię, przez którą mało nie wywołałem strzelaniny.

Posępne myśli przerwał tubalny śmiech Brana. Żartował, że gościmy u krezusa, a następnym razem odwiedzimy go pewnie w pałacu. Zgoda upartego właściciela musiała kosztować fortunę.